

Teraźniejszość albo oniryczny surrealizm

Autor tekstu: **Francesco Bernardini**

Czy sen może się zmaterializować... nabrać takiej Formy... że go widzimy na jawie... żyjemy go sobą w świadomości... oczywiście... że sny nam się spełniają... lecz my często nie wiemy gdzie i kiedy... jaką częścią psychiki jest sen... której nie potrafimy wyjaśnić... dlaczego odbywamy podróże senne w podświadomości... czy to jest dla nas jakaś informacja... czy to jak je interpretujemy jest prawdą... czy tylko oszukujemy świadomość... ponieważ nie potrafimy go wytłumaczyć... fenomen... czym jest bez wątpienia sen... ma wielki wpływ na naszą rzeczywistość... nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego... jak bardzo w życiu codziennym kierujemy się fabułą zawartą w snach... obrazami... które są na pierwszy rzut oka... bez żadnej logiki... panuje w nich „chaos”... lecz jeśli dokładniej zapamiętamy treść snu... i dokładniej przemyślimy... to wtedy ten „chaos” jest podobny do tego... który stał się przyczyną stwarzania wszechświata... to prawo „chaosu” dokonuje cudów na naszych oczach... może dlatego sen jest pomostem... mostem zawieszonym pomiędzy wczoraj a przyszłością... który wznosi się wysoko ponad teraźniejszością... po tym moście możemy dotrzeć do przyszłości... poznać ją w zarysach ogólnych... a więc dzięki snom możemy przeczuć jutro... sen jest konglomeratem obrazów zmieszanych w kotle teraźniejszości... kiedy się budzimy... pierwszą myślą jest... czy to co przed „chwilą przeżyliśmy” jest realem czy tylko zjawą... dopiero po kilku sekundach dociera do nas rzeczywistość... i wtedy albo obrazy senne zostają zakodowane w naszej pamięci... albo „ulatniają się” by znowu wrócić w czasie snu... tak długo będą wracać... aż zostaną zapamiętane... już wiele razy zadawałem sobie pytanie... czy obrazy senne są prawdą czy kłamstwem... i doszedłem do wniosku... że określając to w ten sposób popełniałem błąd... bowiem sen po prostu jest... tak jak my... jest częścią naszego istnienia... sny są bo my jesteśmy... wartość obrazów sennych i ich treść jest uzależniona od tego jak bardzo w życiu codziennym jesteśmy sobą... na ile stać nas na siebie... bez względu na to... jak nas odbiera potoczność życia cywilizowanego... bo tylko wtedy możemy dojść do pewnego stopnia swej niezależności... by móc dostrzegać to... czego inni nie potrafią... zdając sobie z tego sprawę... że każda proklamacja wolności rodzi nowy typ niewoli... chociaż człowiek nigdy nie będzie potrafił znaleźć wolności... której tak naprawdę nie ma w całym kosmosie... wolność w tym czystym pojęciu filozoficznym bywa tylko we wczesnym dzieciństwie... kiedy małe dziecko poznaje życie używając jako „broni” Syndromu Dziecięcej Negacji... lecz u małego stworzenia... jest to naturalne... że podporządkowywanie się dorosłym bywa nie do przyjęcia dla pączkującej psychiki... dopiero kiedy jesteśmy dorośli... Syndrom Dziecięcej Negacji jest dyktatorem naszego postępowania... i wtedy często postępujemy przeciwko własnemu Ja... jesteśmy manipulowani na zasadzie Negacji... lecz te reakcje są w większości negatywne w skutkach... bowiem stajemy w opozycji do zdarzeń w swym życiu dla jakiejś zafajdanej zasady przyjętej przez nas wartości obiegowych... nasze postępowanie jest matrycą innych...

Weźmy taki przykład... jeśli jakiś sąsiad kowalski dał na budowę kościoła 10.000 zł... to my musimy dać... nawet i kilka złotych więcej... byśmy byli „lepsi” od sąsiada... więc negujemy wartość jego... uważamy bowiem... że nasz sąsiad jest mniej warty od nas... że jego posiadanie jest mniejsze od naszego... właśnie „licytacja” swego Ja doprowadza do zatracenia jego wartości... do sprowadzenia egzystencji do poziomu negocjowania wszystkiego i wszystkich... którzy nas przerastają... większości ludzi nie potrafi się pogodzić z tym faktem... że inni potrafią być wyżej i zrobić lepiej i więcej... i całe życie spędzają na tym... budując w negatywie do innych swoje poczucie wartości... które bezustannie wymaga coraz większego wysiłku... i celem staje się nie wartość człowieka ale wartość sama w sobie bez oglądania się na to... jakie ona czyni spustoszenie w człowieku... zaczynamy żyć powielenie innych... a to już jest labiryntem... który sam człowiek stworzył nie tylko dla własnej wygody i postępu... lecz także destrukcji własnej przyszłości...

Wróćmy jednak do snu... sen... sen bywa językiem... bywa przekazem... który często odczytujemy po długim czasie... nie pamiętając nawet... że sen nam „powiedział” o tych zdarzeniach... które dopiero miały nadejść... zdarzeniach zakodowanych gdzieś głęboko w naszej podświadomości... która jest cieniem naszego ego... matrycą... na której jest zapisany nasz charakter...

Przez cały dzień... wracała natrętna myśl... wiemy... że jest przeszłość... że tych co

przeżyją czeka za załamaniem czasu przyszłość... siedząc przy stole wpatrzony w migocący płomyk świeczki... uświadomiłem sobie... że teraźniejszości nie ma... że to miganie było przeszłością już w momencie kiedy nawet nie zdążyłem uświadomić tego... że płomyk istnieje już tylko poza teraźniejszością... że patrząc na jego miganie uświadamiam sobie... że w tym chwiejnym... bladym świetle nie czuję teraźniejszości... i zacząłem sobie zadawać pytanie... że kiedy nie ma... nie istnieje tu i teraz... nie ma chwili obecnej... że jest niemożliwa do uchwycenia... że tak zwyczajnie... nie ma teraźniejszości... więc zdając sobie z tego sprawę wiedziałem... że nasze istnienie dzieje się tylko w przeszłości i w chwili nadchodzącej... znając przeszłość musimy znać i przyszłość... jeśli nasz byt istnieje w tych dwóch wymiarach czasowych... więc musimy znać przyszłość... więc ona jest w nas... ale jak ją dostrzec... jak odróżnić od przeszłości... zasypiałem z tą myślą... nie potrafiłem na to pytanie odpowiedzieć... i wtedy we śnie się pojawiła...

Długa biała sala o sklepieniach gotyckich przedstawiała jakby refektarz... w którym spożywano posiłki po godzinach długiej żarliwej modlitwy... między przęsłami łuków tworzących sklepienie były wmurowane wielkie monitory... na każdym z nich widać było ruchome obrazy... jakby Leonardo lub Michał Anioł namalowali komiksy w stylu renesansu... i teraz je odtwarzano na tych wielkich monitorach w średniowiecznym refektarzu zakonu Rycerzy Maltańskich... kiedy w czasie posiłków panowała taka cisza... że z tych obrazów na ścianach... które przedstawiały sceny biblijne... pełne wrzasków i krzyków torturowanych świętych... to te dźwięki słychać było w czasie posiłków czcigodnych zakonników... więc kiedy stałem w moim śnie... w tym refektarzu... na którego ścianach pod gotyckimi łukami sklepień były wmontowane wielkie monitory... stał długi stół na całą długość jadalni czcigodnych rycerzy... a wokół niego siedzieli w białych płaszczach... takie jakie noszą w szpitalach lekarze i pielęgniarki... siedziało jakieś dziwne konsylium... albo nawet jakiś synod biskupów... ale były tam też kobiety ubrane w białe fartuchy i okrągłe czapeczki na głowach... takie jakie się nosi w laboratoriach lub przy stole operacyjnym... by nawet najmniejszy włos nie wpadał do wnętrza rozciętego ciała pacjenta... by po zaszyciu nie dostał od tego włosa zakażenia i nie umarł od tego maleńkiego włosa z głowy pielęgniarki lub lekarza... którzy mieli go wyleczyć a nie zabić jednym małym włosem... i wszyscy przy tym długim stole milczeli... patrzyli w stronę tego... który siedział na samym końcu stołu... nic nie mówił... jakby tylko obserwował i z natężonym błyskiem w oczach wydawał jakieś polecenia... które rozumieli tylko ci... którzy uczestniczyli w tej milczącej dyskusji... nie zwracali też uwagi na to co się dzieje na tych wielkich monitorach... przez dłuższą chwilę stałem i nie mogłem zrozumieć co się tutaj w tym dziwnym pomieszczeniu dzieje... zacząłem po kolei przypatrywać się każdej siedzącej osobie za stołem... jedno co zauważyłem... to każdy z siedzących miał inny wyraz twarzy... nie widziałem dwóch podobnych wyrazów... co druga twarz była zupełnie nieruchoma... a te pozostałe co chwilę drgały... było widać na nich jakąś dziwną mimikę... dziwne grymasy... jakby te grymasy były dziwną mową... każde drgnięcie miało chyba jakieś określone znaczenie... jakby alfabet Morse'a... albo migowy alfabet głuchoniemych... obchodziłem wokół tego ogromnego stołu... nikt na moją obecność nie reagował... jakbym bym przezroczyły... jakby mnie tam w ogóle nie było... wszyscy byli zajęci obserwowaniem tego... który siedział wyprostowany w krześle wysokim z rzeźbionym oparciem na samym końcu długiego stołu... można było wyczuć w jego twarzy... że jest tutaj najważniejszym uczestnikiem tego synodu czy obrad jakiejś dziwnej inkwizycji... w środku długości tego stołu siedziała kobieta... jej twarz była jak chropowaty kamień... bez żadnego wyrazu... nic w niej nie drgało... siedziała jak posąg... ruchy jej były powolne... jakby leniwe... jak ciężka maszyna... ramiona wielkiego dźwigu... jej krzesło było odsunięte od stołu... tak że wystawała z rzędu krzeseł... na których siedzieli pozostali... ręce miała zgięte w łokciach... a w dłoniach trzymała za nóżki kilkumiesięczne dziecko... na tych maleńkich nóżkach były czarne skórzane buciki... ta kobieta trzymała to maleństwo za nóżkę poniżej kostki... tak... że nad jej dłonią widać było maleńką stopę z tym czarnym bucikiem... w drugiej ręce trzymała piłkę do żelaza... taką... jakiej używają ślusarze do cięcia metali... rama tej piłki była niebieska... brzeszczot czarny... błyszczał przy tym mglistym świetle refektarza... te błyski były podobne jak te od węgla... tego najwyższego gatunku... od antracytu... kiedy leży na dłoni a promienie słoneczne uwypuklają jego czarną barwę... ludziom się to kojarzy z mocami piekielnymi... i ta kobieta... w pewnym momencie... podniosła ten brzeszczot na wysokość kostki tej małej nóżki... przyłożyła i tak na kilka chwil znieruchomiła... potem głowę... jednym jak automat ruchem odwróciła w stronę tego... który siedział na samym końcu stołu... ani jeden muskuł na jej twarzy nie drgnął... nagle zacząłem krzyżeć... *ty... zostaw to dziecko w spokoju...* ale nic nie było słychać... ale ten mój krzyk... zobaczyłem na jednym z tych wielkich monitorów... które

wisały na ścianach... tam się pojawiły wielkie litery mego krzyku... ale nikt na te monitory nie patrzył... więc nie mógł widzieć mego krzyku... po chwili... na sąsiednim monitorze pojawiło się słowo... bucik... na innym monitorze pojawiło się słowo... potrzebny... a na tym gdzie był mój krzyk... który w tej samej chwili zniknął... pojawiło się słowo... tnij... spojrzałem w stronę dziecka... ta kobieta zaczęła powoli jak piłą ramową do cięcia grubych przedmiotów metalowych zaczęła poruszać swą ręką jakby to było naprawdę piłą ramową... jej ruchy były powolne... automatyczne... brzeszczot powoli zaczął się zagłębiać w delikatną nóżkę dziecka... stałem przerażony... nie było widać krwi... nikt nie patrzył w stronę tej makabrycznej sceny... robiło mi się ciepło i zimno... dreszcze bezsilności wstrząsały moim ciałem... nagle poczułem jak mą twarz zalewa jakaś ciepła lepka ciecz... monitor naprzeciw mnie przyciągnął mój wzrok... jakby jakaś niewidzialna siła kierowała w moim mózgu ośrodkiem wzroku... spojrzałem... na tym monitorze była tak makabryczna scena... kolorowy monitor... brzeszczot już do połowy był zagłębiony w nóżce dziecka... wokół... z tego rozcięcia tryskała krew... nóżka się wiła... tak jakby chciała się wyrwać z żelaznych palców tego potwora... razem z tą krwią latały wokół słowa krzyku dziecka... wyrażające straszny ból i trwogę... i ginęły gdzieś poza monitorem razem z tryskającą krwią... krzychałem... i mój krzyk pojawiał się na sąsiednim monitorze... jakby moje struny głosowe były podłączone niewidzialnymi przewodami do tego monitora... jakiegoś dziwnego komputera... który tłumził mój krzyk i przetwarzał go na formę pisaną na monitorze komputera... na ostatnim monitorze pojawił się napis... słowa chyba pochodziły od tego najważniejszego człowieka... który siedział na samym końcu długiego stołu... „to nie jest dziecko.. to jest lalka... taka... którą bawią się małe dziewczynki”... spojrzałem na tego potwora za stołem... i tam dziecko się nie ruszało... nie ciekła krew... ale na monitorze było czerwono od krwi i krzyku... litery... którymi był zapisany krzyk dziecka były jaskrawo czerwone... jaśniejsze od krwi tryskającej z piłowanej nóżki dziecka... nagle obraz z monitora zniknął... spojrzałem na dziecko za stołem... but z odciętą małą stopą dziecka leżał na stole... na białym obrusie nie było żadnego śladu krwi... ani jednej kropli nie widziałem... wszyscy skierowali wzrok w stronę odciętej stopy dziecka... ten najważniejszy skierował swe puste oczy w leżący bucik... w którym była odcięta stopa dziecka... nagle poruszył się... i szedł w stronę tego najważniejszego... ten bucik szedł tak jakby dziecko szło... chociaż go nie było widać... jakby był cały niewidzialny... tylko ten bucik z odciętą stopą w środku... pomyślałem... że chyba tak wyglądała pięta Achillesa... cały był nieśmiertelny... tylko pięta była widoczna... kiedy bucik dotarł do końca stołu... nagle wyskoczyła z niego ta odcięta mała stopa i wskoczyła temu najważniejszemu do ust...

patrzyłem na tę scenę z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma... pomyślałem sobie... gdzie ja jestem... co to są za potwory... opanował mnie gigantyczny strach... szybko sobie uświadomiłem... że w snach nie można się poddać strachowi... bo ten sparaliżuje i wtedy nie można uciekać ani reagować na to co się we śnie dzieje... skurczyłem się i stałem się taki mały... mniejszy niż to dziecko z odciętą stopą... i w ten sposób wydusiłem z siebie cały strach... wróciłem do swej postaci już bez strachu... zauważyłem... że ten potwór... ta kobieta jak mumia piłuje tymi powolnymi ruchami drugą stopę dziecka... spojrzałem na monitor... tam działo się dokładnie to samo co przy odcinaniu pierwszej stopy dziecka... krzyk i krew dziecka wypełniły cały monitor... po chwili drugi bucik szedł po białym obrusie w stronę tego najważniejszego... który siedział na samym końcu tego bardzo długiego stołu... i druga odpiłowana stopa dziecka wyskoczyła z bucika prosto do jego ust...

już nie mogłem wytrzymać tego makabrycznego widoku... skoczyłem przez stół i stanąłem za nim i wyrwałem okaleczone dziecko z rak tej mumii... nikt się nie poruszył... ale i ja stałem z tym dzieckiem w ręku jak wmurowany... tak jakby jakieś niewidzialne ręce trzymały mnie jak w kleszczach... próbowałem się szarpać ale nic nie pomagało... spojrzałem na monitor... szukając tam pomocy... a na nim był krzyż stojący na jakieś górze a na nim był ukrzyżowany Jezus... i śmiał się... ale ten śmiech był tylko graficznie przedstawiony na monitorze jak mój krzyk i płacz dziecka... nic nie słyszałem... czytałem tylko ten śmiech... nie wiem dlaczego... ale ten śmiech był szyderczy... brzmiał kpiąco... drwiąco... spojrzałem na sąsiedni monitor... a tam były wypisane słowa tego najważniejszego... całego ich szefa czy herszta... sam nie wiem jak go nazwać... jak go tytułować... a może to był mistrz tego dziwnego i makabrycznego stowarzyszenia... a może to było jakieś doświadczone laboratorium w dalekiej przyszłości... ale cokolwiek to było... to nie można tym usprawiedliwić tego makabrycznego odcinania małego dziecku stóp... tylko dlatego... że potrzebne były buciki... na innym z monitorów pojawił się napis... „nie chce pan zrozumieć... że dziecko by nam

przeszkadzało swą obecnością przy badaniu tego fenomenu jakim są buciki sprzed dwóch tysięcy lat... my dziecka nie potrzebujemy... buciki są najważniejszym znaleziskiem... dziecko już jest dawno martwe"... napis zniknął... za chwilę pojawił się nowy napis... „czym ty się marny człowiecze przejmujesz... przecież to nie jest twój ból... i ten ból już dawno nie istnieje... to jest ból sprzed dwóch tysięcy lat... to jest martwy ból... ta krew jest tylko cybernetycznym zapisem tamtej krwi"...

pomyślałem... otumanić mnie chcą tą techniką... tym cybernetycznymi czarami... tym oszustwem naszego wieku... mydlą mi mózg tymi monitorami... tą ciszą piekielną... tym bezruchem chcą mnie zmylić... chcą uspić moją wrażliwość na ból i cierpienie innych... wiedziałem... że nie mogę do tego dopuścić... jeszcze nie wiedziałem jak to zrobię... ale jedno wiedziałem na pewno... muszę przerwać to makabryczne przedstawienie kosztem małego dziecka... które cierpi w tym klasztorze... nie wiedziałem gdzie mam schować dziecko z obciętymi stopami... żebym miał wolne ręce... położyłem go sobie na plecy i powiedziałem... trzymaj się mocno... słów swoich nie słyszałem... ale zaraz pojawiły się na monitorze... z którego zniknął ukrzyżowany śmiejący się szyderczo Jezus... wyciągnąłem pasek ze spodni i nim przymocowałem sobie dziecko do pleców... nikt z obecnych nie reagował na mnie... tak jakby mnie tutaj wcale nie było... byli w jakiś dziwny... dla mnie niewidoczny i niezrozumiały sposób zajęci sobą czy jakimś dziwnym obrzędem... spojrzałem na monitory... pojawiały się tam różne napisy... wpięrow nie mogłem pojąć ich sensu... dotarł do mnie po chwili... „zabić, rozciąć piłą, rozerwać, wcisnąć w mur, zostawić tylko głowę żywą, całego zjeść po kawałku, zalać w przezroczysty plastik, rozwalcować i powiesić na ścianie za ołtarzem, niech zje resztę dziecka"...

dopiero teraz zrozumiałem... że te słowa te fragmenty zdań dotyczą mego losu... że naradzają się w tym refektarzu w jaki sposób się mnie pozbyć... jakim poddać torturom czy doświadczeniom... albo na jaką mnie przerobić ozdobę i powiesić mnie w laboratorium... pomyślałem sobie... że teraz jest ostatnia szansa bym uratował dziecko i siebie... kiedy się naradzają... i natychmiast moje myśli pojawiły się na jednym z wielkich monitorów... cholera... jak tu przestać myśleć by oni nie wiedzieli co myślę lub co mówię... skierowałem swoje myśli na dziecko... czy jest dobrze przymocowane do moich pleców paskiem do spodni... i te myśli pojawiły się na monitorze... więc postanowiłem nie myśleć... nic... kompletna pustka w głowie... doskonała... przypomniał mi się zaraz Lao Tsy... i jego Tao... pustka jest doskonałością... dobrze jemu było teoretyzować... ale jak to zrealizować i to w takiej sytuacji... i do tego jeszcze we śnie... a te są często makabryczne i człowiek śniący przeważnie w nich przegrywa... ginie... lub jest okaleczony... zostaje inwalidą... albo po prostu postrada zmysły i zostaje mówiąc potocznie wariatem... oszaleje z absurdalności tego co mu się śni...

nagle przede mną pojawił się na stole mały człowiek... ubrany w długą... sięgającą kostek szatę... była czarna... tylko biały sznurek przez biodra dzielił tego maleńkiego człowieka na połowę... na głowie miał chiński słomiany kapelusz... spod którego zwisał na plecach warkocz czarnych... z wplecioną siwizną włosów... świadczące o dojrzałości tego małego mężczyzny... stał lekko zgarbiony... pochylony do przodu... jakby na plecach miał jakiś bagaż... ciężki bagaż... na twarzy miał ciepły uśmiech... który się nie pojawił na żadnym z monitorów... milczał i chyba nie myślał bo nic się nie pojawiało na monitorach... ale cały czas wydawało mi się... że słyszę jego mowę... a przecież nie znam chińskiego... dopiero po chwili zrozumiałem... że „mówi” do mnie gestami... prawie że niewidocznymi... subtelnymi... w ten sposób powiedział do mnie... bym zamknął oczy... a resztę mam pozostawić jemu... pomyślałem sobie... kto jest ten dziwny człowiek... który się tak nagle pojawił... i ta myśl natychmiast pojawiła się na monitorze... Chińczyk nawet nie drgnął... i powiedział albo pomyślał... bo moje myśli zniknęły z monitora a na ich miejsce pojawił się napis... Lao Tsy... i natychmiast zniknął... na monitorze pojawiła się Jego myśl... „pamiętasz, że kiedyś napisałeś, że gówno po czasie wyschnie i przestanie śmierdzieć, lecz człowiek jest stary jak Kosmos, bo jest kosmosem"... moje zdziwienie nie miało granic... skąd Lao Tsy znał moje myśli... przecież nie żyje już dawno... a teraz jestem w przyszłości dalekiej... oddalonej od dnia dzisiejszego o wiele set lat... to czas, kiedy mnie już dawno nie będzie... ale dlaczego ja teraz tutaj jestem w tej odległej przyszłości... jak się tutaj dostałem... przecież sen to teraźniejszość... sen jest chwilą kiedy jeszcze żyjemy... nie możemy śnić kiedy nas już nie ma... wszystkie te myśli pojawiały się na monitorze... i jedna myśl po drugiej pojawiły się na monitorze... same pytania... a mistrz Lao Tsy odpowiadał... i te jego odpowiedzi pojawiały się na sąsiednim monitorze... „dlatego... że nie tylko szedłeś po Tao... ale stworzyłeś swoje własne Tao... które jest dopełnieniem mego Tao... chociaż jeszcze wiele brakuje ci do bycia mistrzem... to jednak osiągnąłeś więcej niż wielu mistrzów Tao... dlatego

dzisiaj tu jestem, w twoim śnie by ci pomóc... a raczej byś wiedział o tym... że prawdziwy mistrz Tao idzie zawsze własną drogą szukając na niej samego siebie... teraz już czas przestać myśleć i uratować dziecko"...

zamknąłem oczy... ja po żadne Tao nie szedłem... byłem i jestem tylko sobą... nie filozofia jest we mnie... życie boli... niebo i piekło wymyślili ludzie... i to jest balastem ludzkości... a Tao to mądrość po przodkach... to dzisiaj... to przyszłość... ja nie mam żadnego Tao... chociaż życie to Tao... o do diabła... wszystko widziałem... a nawet słyszałem myśli tych zgromadzonych w refektarzu przy długim stole... i teraz ani moje słowa ani myśli nie pojawiały się na monitorze... ależ to proste pomyślałem... aż genialne... takie proste... zamknąć we śnie oczy... o kochane Tao... Lao Tsy zeskoczył ze stołu... podłoga się rozstała i zaczęliśmy spadać w dół... lecieliśmy bardzo długo... zatrzymaliśmy się na jakiejś scenie... kurtyna była na dole... więc nie widziałem co jest za nią... na scenie... przy jej brzegu stał przez jej długość stół na którym leżały sterty jakiś dokumentów... grube skoroszyty leżały na tym stole... Lao stanął przede mną i lekko się uklonił składając dłonie jak do modlitwy... powiedział... „Tutaj już musisz sam sobie poradzić, to jest już rzeczywistość... tutaj ma moc już nie działa... jesteś teraz zdany tylko na samego siebie... wiem... że się obronisz... a jeśli przegrasz... to ta porażka będzie w przyszłości twym wielkim zwycięstwem... żegnaj"...

Nagle zniknął... w tym samym momencie usłyszałem trzy dzwonki... i kurtyna zaczęła się powoli podnosić... przez cały czas podnoszenia się kurtyny było słycać krzyki... narzekania... jęki... przekleństwa... pomstowanie... przeraźliwe wołanie o pomoc... jakby gdzieś kogoś torturowali... kiedy już kurtyna była na górze... głosy ucichły tak nagle jak się pojawiły... patrząc na widownię pomyślałem sobie teatr... bo tam siedzieli widzowie... w pierwszej chwili nie mogłem odróżnić poszczególnych postaci... dopiero po chwili... jak oczy przyzwyczyły się do półmroku tam panującego zacząłem odróżniać widzów... to nie byli ludzie... ani nawet jakieś potwory... w tych fotelach były jakieś dziwne kształty... a nawet widać było... że siedzi w fotelu duża noga... stopa... głowa... ręka... było kilka olbrzymich penisów... i kobiecych genitaliów... w pierwszym rzędzie zobaczyłem siedzącą różową szczękę z białymi zębami... po lewej stronie siedziała wielka dłoń... w środku panoszył się mózg... z widowni zaczęły rozbrzmiewać gromkie i potężne oklaski... i ta makabryczna publiczność krzyczała „brawo!"... demokracja... demokracja... demokracja... powtarzała coraz głośniejszą ta zdeformowana publiczność... demokracja... to słowo stało się w mych uszach jakby przekleństwem... bolało swym potężnym dźwiękiem... paliło swą obecnością całe moje odczuwanie wszystkiego co mnie otacza... stało się torturą... znaczeniem... którego moje serce nie potrafiło zrozumieć ani znieść... wlewało się w moją świadomość jak rozżarzona lava w ciało śpiącego obywatela Pompei kiedy przed wiekami rozgniewali się bogowie na człowieka... dźwięk tego słowa wbijał się w mą duszę jak drzazga pod paznokcie... kiedy przesłuchiowano na gestapo więźnia... każda literka tego przeklętego słowa była rozpalonym gwoździem wbijanym w mą świadomość... wszystko to narastało... cały teatr wypełnił się hukiem jakby startował Concord... potężny ryk silników odrzutowych wdzierał się do pękających i obolałych uszów...

kiedy już myślałem... że ten huk rozsądzi mnie... nagle się urwał... i na scenę z lewej i prawej strony wchodzili jacyś ludzie... wszyscy mieli odcięte stopy... które nieśli pod pachą... i na tych stopach były buty... kształtem takie same jak tego małego dziecka... które teraz z odciętymi stopami miałem przymocowane paskiem na plecach... kiedy usiedli ci dziwni ludzie za stołem położyli te swe stopy z butami obok tych dokumentów... poprawili peruki... wszyscy włożyli okulary... nie zwracali na mnie uwagi... stałem i nie mogłem się ruszyć z miejsca... usiedli... ten sędzia... który siedział w samym środku... podniósł lewą rękę i na scenę weszła kobieta... ubrana w strój adwokacki... potem powiedział do mnie... że pani mecenas będzie moim obrońcą... spojrzałem na kobietę... cofnąłem się przerażony... przetarłem oczy... myślałem... że śnię... ale nie... ta kobieta... która obcięła stopy dziecku razem z bucikami... ona miała być mim obrońcą... ta potwornie kamienna... bez żadnego wyrazu twarz miała być moim obrońcą... skąd się tu wzięła... dlaczego... przecież z tamtej części snu uciekliśmy tylko my troje... Lao Tsy dziecko oraz ja... skąd się tu wzięła ta kobieta ulepiona z wosku... podeszła do stołu sędziowskiego i z kieszeni wyjęła jakiś papier i przylepiła sobie go na usta... ukloniła się sędziom i podeszła do mnie... na twarzy miała przylepiony uśmiech... czerwone usta namalowane dziecięcą rączką na białej kartce papieru były jej uśmiechem... dziecięcy rysunek uśmiechu na twarzy woskowej... to było przerażające... i to indywiduum miało być moim obrońcą w sprawie... w której nie wiedziałem o co jestem obwiniony... o co mnie tutaj oskarżają...

przewodniczący wskazał widownię i powiedział... *a teraz oskarżyciel ma głos...* nastąpiła chwila absolutnej ciszy... z pierwszego rzędu odezwał się głos... wstała wielka dupa... i pośladkami zaczęła mówić... takim mlaskającym dźwiękiem... poszczególne słowa trudno było odróżnić... z tego co do mnie dotarło zrozumiałem... że jestem oskarżony o próbę zabicia młodej demokracji... i że to dziecko z odciętymi nóżkami na moich plecach... jest tą młodą demokracją... że ja odciąłem tej młodej demokracji stopy... potem z ostatnich rzędów podniosło się wielkie ucho... i powiedziało... że ja tą młodą demokrację uwięziłem... że nikomu jej nie chcę oddać... a przecież demokracja jest własnością wszystkich... więc powinienem za ten czyn zostać ukarany... następnie w samym środku widowni podniósł się mózg... czekałem na jakieś sensowne zdanie... bo sobie pomyślałem... co może wiedzieć jakaś dupa albo samotne ucho... miałem cichą nadzieję... że mózg będzie mówił do rzeczy... przez chwilę się rozglądał... potem powolutku... jakby cedził każde słowo... jakby chciał by waga jego słów dotarła do sędziów siedzących za stołem na scenie tyłem do widowni... czekałem w ogromnym napięciu... więc mózg zaczął swoje oskarżenie wobec mojej osoby... powiedział... że jestem osobnikiem z innego świata... że jestem wysłannikiem jakiejś siły nieczystej... bowiem normalny człowiek nie będzie bronił innych... ale samego siebie... że nie będzie wracał do terażniejszości z dalekiej przyszłości... że żaden normalny człowiek nie obcina nóg małemu dziecku... i to razem z bucikami... stałem sparaliżowany... nie mogłem uwierzyć w to... że ludzki mózg może wygadywać takie bzdury... że ten bełkot jest mową schizofrenika... człowieka obłąkanego... człowieka psychicznie chorego... ale mózg dalej ciągnął swe oskarżenie wobec mnie... znowu cedził słowa... że ludzkość nie może pozwolić na to by w ten sposób mordowano i kaleczono małe dzieci... że takich złoczyńców powinno się nie tylko izolować ale z całą bezwzględnością tępić... że tacy właśnie osobnicy mogą doprowadzić do ogólnoswiatowej tragedii... że ludzkość powinna wszystkimi siłami zabezpieczyć ziemię przed takimi przybyszami z dalekiej przyszłości... by nie mogli się dostać do terażniejszości... żaden wysiłek w tym kierunku nie powinien pójść na marne... bowiem agresorzy z czasu przyszłego są zdolni do zniszczenia terażniejszości i mogą zaprowadzić dominację i porządek taki... jaki panuje w przyszłości... i ten ład by nas zniszczył... dowodem na to jest to... w jaki sposób agresor postępuje z małymi dziećmi... proponuję wysokiemu sądowi by bez żadnych skrupułów skazał tego agresora na wytępienie... mózg ukłonił się wysokiemu sądowi i całej widowni...

po tym przemówieniu cała widownia zaczęła krzyczeć... demokracja... demokracja... demokracja... śmierć agresorom... zniszczyć przyszłość... niech nam odda demokrację... zrobił się tak potężny huk jak poprzednim razem... bębunki w uszach mi pękały... po chwili przewodniczący sądu podniósł rękę i widownia ucichła... i sędzia wskazał na mego obrońcę mówiąc... czy obrońca chce wygłosić mowę... spojrzałem na kobietę o woskowej twarzy z przyklejonym papierowym uśmiechem narysowanym ręką dziecka... nawet na mnie nie spojrzała... podeszła bliżej stołu sędziowskiego i odlepiła sobie ten papierowy uśmiech... i położyła go na stole na tych stertach dokumentów i powiedziała zdejmując strój obrońcy... mówiła bez otwierania ust... to jest moja mowa obrończa... i usiadła na podłodze przed stołem sędziowskim... z widowni znowu zaczęto krzyczeć... demokracja... nie oddamy demokracji... na stos z przyszłością... spalić... zniszczyć wrogów demokracji... sędzia znowu gestem ręki uciszył widownię... i zwrócił się w moją stronę... czy oskarżony chce coś powiedzieć na swoją obronę... lub coś sądowi wyjaśnić... i niech oskarżony mówi śmiało... mamy przecież demokrację i u nas każdy ma równe prawa... tylko dla niektórych są one równiejsze... podeszedłem bliżej stołu sędziowskiego... ale sędzia zatrzymał mnie gestem ręki bym pozostał tam gdzie stoję... chwilę stałem w milczeniu... starałem się szybko zebrać myśli... nie wiedziałem co mam powiedzieć... nie wiedziałem jak się zachować w tej groteskowo tragicznej dla mnie sytuacji... po chwili usłyszałem głos sędziego... proszę śmiało mówić... czekamy... śmiało... beż żadnych obaw proszę mówić... demokracja oskarżonego nie skrzywdzi... my nie skazujemy niewinnych... demokracja jest jak Bóg... zawsze sprawiedliwa i zawsze ukarze tylko winnych... demokracja nigdy się nie myli... dlatego wszyscy się jej domagają i potrafią ją obronić przed takimi wrogami jak oskarżony... stałem zbity z tropu... nie wiedziałem czy sędzia mówi do mnie czy wygłasza jakąś propagandową mowę... i po chwili odwrócił głowę w moją stronę... powiedział... proszę nie przerywać... proszę... niech oskarżony mówi dalej...

zebrałem w sobie wszystkie siły i zacząłem mówić... proszę wysokiego sądu... tutaj zaszła jakaś pomyłka... to o co jestem tutaj oskarżony... że temu dziecku czy tej młodej demokracji jak ją nazwała pani dupa... że to jakaś tragiczna pomyłka... że temu dziecku... które mam na plecach obcięła stopy ta tutaj kobieta z woskową twarzą... która w poprzedniej części snu odcięła stopy piłką do metali... razem z bucikami je obcięła kiedy byłem w jakimś refektarzu i

sam chciałem temu barbarzyństwu zapobiec... i musiałem ratować się ucieczką i to oto dziecko... które jest na mych plecach uratowałem bo chcieli go zabić... zjeść... albo dać do jakiegoś laboratorium by na nim przeprowadzić jakieś doświadczenia... i tam w tej przyszłości uratował mi życie mistrz Lao Tsy... więc myślę wysoki sędzie... że ta rozprawa jest tragiczną pomyłką... nie wiedziałem co dalej mówić... milczałem... trudno było mi znaleźć słowa by wytłumaczyć absurdalność tej całej farsy jaka się odgrywała w terażniejszości... jeden z sędziów wstał i wskazał moje stopy... niech oskarżony nam wytłumaczy... dlaczego tylko on ma stopy... nie ma nikogo... kto by tak jak oskarżony miał obie stopy... a do tego jeszcze oskarżony ma na tych stopach buty... czy to się nie wydaje oskarżonemu podejrzanemu... cały czas oskarżony mówi o jakimś dziecku na swych plecach a ja żadnego dziecka na plecach oskarżonego nie widzę... więc oskarżony coś kręci albo chce okłamać wysoki sąd... krzyknąłem... że nie kłamię... że to dziecko na mych plecach jest... czuję je... przysięgam wysoki sędzie na życie moje matki... że mówię prawdę... że ani jedno moje słowo nie jest kłamstwem... że wszystko jest szczerą prawdą... teraz przerwał mi inny z sędziów zza stołu... proszę oskarżonego... ja też nie widzę żadnego dziecka na oskarżonego plecach... ale proszę chwilę poczekać... odwrócił się w stronę widowni i skinął głową... z fotela podniosły się damskie genitalia i weszły na scenę... bez słowa zdjęły mi dziecko z pleców i rzuciły za kulisy... byłem w tym momencie skamieniały... usłyszałem przeraźliwy krzyk dziecka... chciałem skoczyć tam by mu pomóc... ale moje nogi były wrośnięte w deski sceny... jak chciałem zrobić krok to cała scena podnosiła się razem z moją nogą... gdy krzyk dziecka za kulisami ucichł... damskie genitalia podeszły do stołu sędziowskiego i powiedziały... że to dziecko jest jej... że urodziła je w przyszłości... że oskarżony... i tu wskazała mnie... ukradł jej to dziecko i ona jest teraz bardzo nieszczęśliwa... że sąd powinien ukarać taki podły czyn jakiego się dopuścił oskarżony... damskie genitalia się nisko ukłoniły i wróciły na swe miejsce na widowni... nikt z sędziów nie przerywał... dopiero teraz sędzia się mnie zapytał... czy mogę to dziecko wysokiemu sądowi pokazać... trwała dłuższa chwila milczenia... cicho narastało w mych uszach jak potężny huk... jakby cały ocean w czasie sztormu wlał mi do uszu... nic nie słyszałem oprócz tej przerażającej ciszy... którą przerwał sędzia... no widzi oskarżony... że dziecka nie ma... a więc udowodnił oskarżonemu kłamstwo... i usiadł... stałem i milczałem... nie wiedziałem co mówić... domyślałem się... że cokolwiek powiem to i tak będzie przekręcone w taki sposób... że będzie obciążało mnie...

wtedy wstał przewodniczący... ale teraz może nam oskarżony coś powiedzieć na temat głównego przestępstwa... którego się oskarżony dopuścił wobec młodej demokracji... pomyślałem sobie... że teraz nie mają dowodu... którym jak twierdziło oskarżenie... że tą demokracją było dziecko... przecież przed chwilą damskie genitalia wyrzuciły to dziecko za kulisy... więc powiedziałem... że żadnego dziecka na plecach nie widzę... że żadnemu dziecku ani w przeszłości ani w terażniejszości ani też w przyszłości nie obcinałem stóp... na których były buciki... że to są czyste insynuacje wobec mej osoby... pomyślałem... że pozostałe oskarżenia nie są takie ważne... że najwyżej jakiś mały wyroczek dadzą w zawieszeniu... wtedy zabrał głos przewodniczący zespołu sędziowskiego... no tak... widzę... że oskarżony chce sobie zakpić z wysokiego sądu... oskarżony myśli... że my nie wiemy... że demokracja leży wyrzucona za kulisami... że oskarżony chciał się pozbyć dowodu rzeczowego i wyrzucił *corpus delicti* swej winy za kulisy i myśli... że wysoki sąd uwierzy w takie brednie... to się oskarżony grubo myli... demokracja jest jak Bóg... wie i widzi wszystko... więc niech oskarżony nam nie wciska kitu... na to jesteśmy zbyt poważną instytucją... która ma bronić nasze społeczeństwo przed takimi wrogami jakim jest oskarżony... my chcemy tylko i wyłącznie by sprawiedliwość stało się zadość... my nigdy nikogo nie skrzywdzimy... ale też nie możemy pozwolić sobie na to... by terażniejszość została zniszczona przez inwazję przyszłości... a tą tutaj reprezentuje oskarżony... a więc oskarżony jest wrogiem numer jeden naszej młodej demokracji... sąd już wie jaki wyda wyrok... ale żeby oskarżony nie twierdził... że demokracja nie pozwoliła się wypowiedzieć... to proszę mówić dalej... my jesteśmy bardzo cierpliwi... ale proszę o to... by równocześnie oskarżony nie nadużywał naszej cierpliwości... proszę mówić dalej...

stałem i milczałem... rosnę we mnie przerażenie... starałem się zebrać myśli... ale strach je tak paraliżował... że nie mogłem nawet jednej ułożyć w jakiś sens... wszystkie wydały mi się banalne i raczej świadczyłyby przeciwko mnie niż były moją obroną... zacząłem się rozglądać by znaleźć jakąś możliwość ucieczki... wszędzie gdzie spoczął mój wzrok była gęsta... nie do przebicia ciemność... potężna ściana ciemności... taka... która oddziela życie od śmierci... wiedziałem... że w górze była przyszłość... ale tam bez pomocy się nie dostanę... ani też nie

chciałem... bo tam bym trafił prosto do refektarza... pode mną była przeszłość... a tam jeszcze z żywych nikt się nie dostał... byłem w pułapce... teraźniejszość stała się dla mnie śmiertelną pułapką... czułem się jak mucha... na którą za chwilę spadnie packa na muchy i rozmiażdży mnie na miazgę... zacząłem sobie zdawać z tego sprawę... że teraźniejszość dla każdego człowieka jest sidłem... w które wpada zaraz po narodzeniu... i że z tej pułapki nie ma żadnego wyjścia... uświadomiłem sobie... że teraźniejszość oskarża każdego człowieka... każdy człowiek w tej teraźniejszości jest oskarżonym... każdy z nas stoi przed sądem teraźniejszości... i nie ważne jest... czy to są oskarżenia prawdziwe czy fałszywe... bowiem każdy z nas jest obarczony grzechem... który obciąża nas tym... że po prostu jesteśmy... że chcąc być w teraźniejszości trzeba wkalkulować w to oskarżenie... i ponieść za to karę... teraźniejszość nie uznaje tego... że człowiek może żyć bez winy... że każdy z nas swym byciem w teraźniejszości ponosi winę za to tylko... że się narodził... ale ja się nie czułem winny... nie chciałem ponieść kary za coś czego nigdy nie popełniłem... a tutaj karano właśnie za niewinność... miałem wrażenie... że cały czas panuje inkwizycja... zmienia tylko formę panowania nad człowiekiem... bez względu jak nazywa się religia czy kościół...

te moje rozmyślenia przerwał sędzia... i powiedział... że sąd odbył naradę i uznał oskarżonego winnym popełnionych zbrodni i skazuje oskarżonego na powrót w przyszłość bez możliwości powrotu do teraźniejszości... niech tam zrobią z oskarżonym co chcą... demokracja nie może sobie pozwolić na to... by jeden człowiek zniszczył jej wieloletni dorobek... żeby takie potwory jakim jest oskarżony nie miały dostępu do demokracji... by były wyjęte spod jej świętych praw... wyrok zostanie wykonany natychmiast... zgromadzona tutaj publiczność wybierze spośród siebie kata... na widowni znowu powstał ogromny huk... kiedy już myślałem... że ten hałas rozsądzi mi głowę... nagle zrobiło się cicho... i z widowni na scenę wszedł wielki penis... szedł powoli i dumnie... jakby był na jakiejś defiladzie wojskowej... stanął przed stołem sędziowskim i nisko się uklonił... i powiedział... że czuje się zaszczycony tym wyróżnieniem... że dołoży wszelkich starań by wykonać wyrok jak najsumiennie... stanął przede mną i milczał... po chwili zaczął wokół mnie chodzić... coraz szybciej... i po chwili już tańczył... w płaschach coraz szybciej mnie okręzał... tak szybko... że wokół mnie powstawała jakaś dziwna ściana dzieląca mnie od tego co widziałem... jakby ten wir tańca był ruchomą ścianą odgradzającą mnie od teraźniejszości... skurczyłem się i zacząłem czuć... że nie mam dziecka na plecach i chciałem krzyknąć... zapomnieliście o dziecku... zapomnieliście o młodej demokracji... ale z gardła nie wydobył się ani jeden dźwięk... tylko niewidoczna ściana coraz szybszego tańca... który wokół mnie wykonywał ogromny penis rosła coraz bardziej i stawała się matowa... powoli obraz zanikał... powoli znikalem z teraźniejszości... i wtedy... poczułem... że moje ciało naprężyło się i... poczułem jak wytryskam... że piżamię jest mokro od mojej spermy... że ręka moja ścisła mocno członek... z którego przed chwilą wytrysnęła sperma... patrzyłem na to zdziwiony... rozglądałem się po pokoju... była ciemna noc...

dopiero teraz sobie uświadomiłem... że już nie śpię... że to co przeżyłem przed chwilą... że to był tylko makabryczny sen... że ta cała maskarada i groteska i tragikomedie i ta cała absurdalność to tylko obrazy sensenne... więc poszedłem do łazienki się umyć... w mieszkaniu nie było światła bo na świętego Mikołaja zakład energetyczny odciął dopływ prądu... więc w łazience było ciemno i szedłem po omacku... łazienka jest mała więc bez problemów trafiłem do umywalki i zdjąłem piżamię... oczy już się przyzwyczaiły do ciemności i zacząłem odróżniać kontury w całej łazience... podniosłem nogę by wejść do wanny... i z przerażenia zbladłem i serce przestało bić... poczułem w tym miejscu gdzie jest serce... piekący ból... jak rozpalony ogień w środku klatki piersiowej po lewej stronie... i z tą uniesioną nogą nad brzegiem wanny zamarłem w bezruchu... skamieniałem... widok jaki zobaczyłem w wannie spowodował mój całkowity paraliż... nie mogłem się ruszyć ani wydobyć z siebie głosu... zostałem skazany na widok w wannie... tam... w czerwonej od krwi wodzie kapały się damskie genitalia i ogromny penis... wielki nabrzmiały męski członek... nad wanną unosiło się różowe blade światło jak od płomyka świecy... nie wiedziałem co zrobić... czy wejść do wanny czy uciekać z łazienki... zamknąłem oczy... trwało to ułamek sekundy... i... zobaczyłem matkę... uśmiechała się do mnie... a ten uśmiech mówił... nie bój się synku... wejdz... wejdz... nie musisz się niczego obawiać... bo to mówi tobie twoja matka... wejdz synu... wchodząc do tej wanny wracasz do mego łona... wracasz tam skąd na ten świat przyszedłeś... wchodząc do tej wanny wrócisz do teraźniejszości... nie bój się i wejdz... jeśli tego nie zrobisz natychmiast... to już nigdy nie będziesz mógł wrócić do chwili obecnej.. tej która czeka na ciebie..

posłuchałem matki i wszedłem... wanna była pusta... wszystko było tak jak zawsze... jak wczoraj kiedy myłem się przed snem... puściłem prysznic... potem się wytarłem i zapaliłem

świeczkę... czy się przyzwyczyli do bladego światła... spojrzałem w lustro.. i cofnąłem się... odbicie... które zobaczyłem.. to nie byłem ja... twarz tego w lustrze była o dwadzieścia lat młodsza... ale włosy na głowie tego faceta w lustrze były zupełnie siwe... i mówił do mnie... sylabizował... śmiejąc się szyderczo... „oho... demokracja... jakże kusząco brzmi to słowo... ależ ile w nim fałszu i zakłamania... ile chowa się pod tym słowem przemocy i zniewolenia... ileż w nim fałszywości... a ty jak wszyscy dasz się złapać na jej ponętny dźwięk... dzisiaj... demokracja jest jak stary rozstrojony instrument muzyczny... na którym grają ci... którzy kompletnie nie mają słuchu muzycznego"... poszedłem do przedpokoju... gdzie jest inne lustro... a ten facet był tam też... to znaczy... że widziałem siebie o dwadzieścia lat później... przecież to absurd... ale wolałem się z tego snu nie budzić... spałem dalej wpadając w głęboką przepaść własnego nieistnienia w rzeczywistości... i tam cały czas wraca do mnie ten sen... nadaje memu życiu inności... która bywa powodem do mego niezrozumienia otaczającego mnie świata... czasami mam wrażenie... że żyję tylko dzięki temu sennemu przeżyciu... bo dzięki niemu zrozumiałem... że tak naprawdę to terażniejszości nie ma... ona jest tylko złudzeniem stworzonym tylko dlatego... by człowiek mógł oszukiwać samego siebie... kiedy zapomina przeszłość a nigdy nie może znać przyszłości... więc zakotwicza swój byt w terażniejszości... w iluzji swego istnienia...

Francesco Bernardini

Wł. Franciszek A. Bielaszewski, urodził się w 1949 r. w Starogardzie Gdańskim. Pisze wiersze, prozę, sztuki teatralne, aforyzmy, reportaże. Mieszka w Londynie. [Więcej informacji o autorze](#)
[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 17-07-2005)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4249) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4249>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl